

J O A N N A

P A R A S I E W I C Z

**Dziewczyna  
z sierocińca**

© Wydawnictwo WAM, 2022

© Joanna Parasiewicz, 2022

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieliąg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Monika Karolczuk, Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcia na okładce: © Pexels/Julia Volk

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3248-4

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Creamy 70 g wol. 2.0  
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

# Prolog

Jest tak cicho, że słyszę, jak bicie serca odbija się głuchym echem od czarnej ściany drzew. Niebo pochowało gwiazdy, a gęsty mrok wokół można zatrzymać między palcami. Co jakiś czas się schylam i sprawdzam dłonią chropowatość nawierzchni, potrzebuję się upewnić, czy nie zboczyłam. Gdy przystaję, by złapać oddech, czuję, jak palą mnie ogniem mięśnie ud i pieką stopy obtarte w cudzych butach. Jest bezwietrznie, a gdy się zatrzymuję, mam wrażenie, że wszystko wokół nieruchomieje razem ze mną, wyczekuje, co będzie dalej. A ja wiem tylko, że muszę biec jak najdalej, dopóki starczy sił.

# Erna

*Breslau, listopad 1944*

Wiszę nad blaszaną miską i z całych sił staram się nie płakać. To moje najwyraźniejsze wspomnienie. W zakamarkach pamięci kryją się echa wcześniejszych obrazów i słów, ale to strzępki duchów przeszłości, wyblakłe niczym skrawki dawnych snów, a to nad miską jest zdumiewająco ostre. Gapię się w blizny po-obijanego naczynia, siedzę na niewygodnej ławie, z obu stron napierają na mnie inni. Jest nas za dużo przy stole i się nie mieścimy. W ogóle jest nas za dużo w tym domu o rudych ścianach, ale Rzesza prowadzi właśnie zwycięski marsz przez Europę (tak się o tym u nas mówi), dlatego nas tu sporo. Przybywa znajd, podrzutków czy kukułczych jaj, których nikt nie potrzebuje, bo najstarsze z nas ma dziesięć lat, więc to za mało na front, a przecież trzeba nas wykarmić i ubrać, mimo że czasy są trudne. W trudnych czasach ludzie tym bardziej nie szukają kolejnej gęby do miski albo mola na głowę, jak mawia siostra Gertrude, dlatego w przytułkach panuje tłok.

Gnieciemy się na ławie, w takim ścisku trudno jest ruszyć ręką, a co dopiero trafić łyżką do ust. Jeść jednak trzeba, bo „a nuż więcej nie będzie” albo siostra, która nas pilnuje, podniesie głos i krzaczaste brwi. Nie znoszę, jak Gertrude krzyczy, wówczas

ze zdenerwowania muszę do ustępu, a najgorsze jest zrobić przy wszystkich w majtki. Zsikanie się w majtki jest nawet gorsze od wyprowadzania kogoś z nas za ucho, choć podobno siostra wykręca je przy tym okropnie silnie. Niemniej ja wiem, że nie istnieje nic straszniejszego niż zasikane majtki, choć mam niecałe pięć lat, co w zupełności starczy, by orientować się w zasadach domu o rudych ścianach.

Siedzimy więc, a siostra Gertrude przechadza się za naszymi plecami ze splecionymi jak do pacierza dłońmi i ocenia nasze postępy. Ma idealnie okrągłą twarz i rozbieżnego zęza, z czego nikt nie odważy się naigrawać, bo dzięki temu siostra widzi znacznie więcej. Dużo później przypomnę sobie o niej, widząc w podręczniku rzymskiego boga Janusa o dwóch obliczach, z których jedno spoglądało na wschód, drugie na zachód i nikt nie mógł być pewien, na kogo akurat patrzy. Dlatego „dla naszego dobra” lepiej wioskować łyżką, tak nam powtarza. „A nuż więcej nie będzie?” Zbieram się w sobie i podnoszę ostrożnie łyżkę do ust, jakby mnie miała zaraz ukąsić w spierzchnięte od nieustannego oblizywania wargi. Poza siostrą Gertrude zerka na mnie hrabina dobrodziejka, wspierająca bladą i stroskaną twarz na palcu prawej dłoni. Spogląda dobrotliwym wzrokiem, tak jak mogłaby patrzeć na mnie na przykład mama. Dokładnie tak wyobrażam sobie mamę, gdybym ją miała. Hrabina dobrodziejka przygląda się nam znad stołu, uwieczniona na portretowej fotografii w czarnej staroświeckiej sukni, która pewnie szeleściła z każdym jej ruchem, a ja oddałabym wiele, aby taką włożyć. Hrabina dobrodziejka, co jest podobno napisane pod zdjęciem, naprawdę nazywała się Eleonora zu Stolberg i to ona

ufundowała Dom Wychowawczy dla Sierot Obojga Płci, Erziehungshaus Mariahilf, w którym tkwimy przy stole oklejonym wytartą ceratą. Dom o rudych ścianach stoi przy Lehmgrubenstrasse in Breslau, jak mówią siostry Gertrude i Liselotte, albo przy ulicy Glinianej we Wrocławiu, jak woli siostra Scholastyka. Ja też mówię Lehmgrubenstrasse, ponieważ słowo „Gliniana” brzmi dziwnie i śmiesznie się je wypowiada, jakby w ustach przesuwano się językiem kluskę.

Wolę patrzeć w oczy hrabiny dobrodziejki niż w zupę przede mną, która dawno przestała być nawet letnia. W moim talerzu lewitują kawałki czegoś burego i oślizgłego, sterczą okrawki kartofli bądź brukwi, są jeszcze szczątki rozgotowanej marchewki. Ale jeść trzeba i nie wolno marudzić, bo nic lepszego nie będzie, czasy są ciężkie, a ciężkie czasy po polsku i po niemiecku brzmią podobnie ponuro. Grzech wybrzydzać.

Wyławiam ziemniaczany kawałek i wsuwam dzielnie do ust. Jest twardy i na szczęście nie smakuje niczym, za to woda, w której pływał, wydaje się słonawa. Prędko przełykam i nabieram to bure oślizgłe na łyżkę.

– Nie jedz tego, Erna – syczy chytrze Ursula, szturchając mnie w bok. – To mamucie glutu.

– Daj jej spokój, Ursula – odzywa się niespodziewanie chłopak siedzący po drugiej stronie stołu. Ma na imię Joachim, pamiętam to, bo jest jedynym Joachimem w naszym sierocińcu.

– A ty co, Stadler, bujasz się w niej?

– Aleś ty głupia, Ursula.

Joachim Stadler jest u nas od niedawna: drobny i szczupły, ma bliźnię w kształcie litery L na skroni. Zaraz nad literą L odcina

się ciemny pasek zbyt krótko wystrzyżonej szczeciny, jak u innych chłopców. Dziewczynki zresztą też obcina się nietwarzowo: zostawiają nam grzywkę w połowie czoła, a reszta włosów dynda koło uszu, co upodabnia nas wszystkie do małpek. Nikt nie jest przez to bardziej urodziwy, w dodatku głowy sierot są podobnie nieforemne: mają spłaszczony tył od leżenia godzinami plackiem i szukania pociechy w gapieniu się w sufit od małego.

Ursula twierdzi, że gdyby siostry wiedziały cokolwiek o życiu i miały więcej oleju w głowie, zostawiałyby nam te włosy, ponieważ ludzie wolą ładne dzieci z loczkami i wstążkami w warkoczach, a nie takie wysiepane jak my. Moje gęste i kręcone włosy też są obcinane „na garnek”. Sterczą więc komicznie i za nic nie dają się gładko przyliżać, choć mała Berta pociesza, że zawsze może być gorzej, w jej pierwszym bidulu wszystkich bez wyjątku golono do zera w myśl zasady: nie ma włosów, jest higiena. Długie pukle są zatem dla nas nieosiągalne, takie włosy nosi się w lepszym świecie, w pańskich domach, nie w naszym. Siostry się jednak nie znają i same noszą welony, toteż gdy za parkanem widzimy jakąś dziewczynę w mundurku i z warkoczem spływającym spod beretu, gapimy się w zgodnym wzruszeniu: że też mogą rosnać ot tak... Na listach marzeń warkocz zajmuje wysoką pozycję i w zabawach często kłócimy się, na którą z nas kolej, by nasunąć na głowę rajtuzy i przez chwilę cieszyć się metamorfozą.

– Sam jesteś głupi, Stadler – odcina się Ursula. – Mówię ci, nie jedz tego. – Łypie znów na mnie. Jest duża, ma prawie dziewięć lat.

– A co to za pogaduszki? – Siostra Gertrude wyrasta błyskawicznie obok. – Mam rozumieć, że już się najadłyście? A nuż więcej nie będzie?!

Pakuje natychmiast do ust mamucie glutę, a wtedy jak na komendę ktoś puka do drzwi jadalni i wywołuje siostrę na zewnątrz.

– Zjadła, zjadła! – triumfuje Ursula i klaszcze w ręce, reszta zaczyna się ze mnie śmiać i wytykać palcami. – Jaka głupia ta mała! Wsunęła mamucie glutę! Blee!

Ursula dokucza mi od czasu, gdy siostra Liselotte po zajęciach z gospodarstwa domowego powiedziała, że dobrze jest mieć niebieskie oczy.

– Powinnas się cieszyć, Erno, ludzie lubią dzieci z niebieskimi oczami. Podobają im się takie jasne.

Gdyby siostra Liselotte wiedziała, jakie drzwi otworzyła swoimi słowami... Gdyby była świadoma, co oznacza w wygłodzonym stadzie wilcząt informacja, że ktoś coś posiadał na własność i że to coś jest o niebo lepsze od tego, co dostało się reszcie, pewnie nie odważyłaby się o tych oczach napomknąć.

– Porzyga się! – ogłasza z nieskrywaną satysfakcją Ursula, szczypiąc mnie boleśnie w ramię. – Ona się zaraz porzyga!

Dziewczynka siedząca obok po drugiej stronie, której imienia nie znam, na wszelki wypadek odsuwa się z odrazą najdalej jak może. Reszta stołu kibicuje albo obstawia zakłady.

– Zrzy-ga się! Zrzy-ga się!

Wszyscy krzyczeli, tylko nie ten chłopak z blizną. Zerkał na mnie, ale się nie przyłączył. Dużo później zagadnęłam go o to i wrzucił ramionami, „że to było głupie”. Wtedy, gdy tak zgodnie skandowali, w przetyku puchła mi kula, a po policzkach spływały zdradzieckie łzy i już się miałam rozszlochać na dobre, gdy ponownie otworzyły się drzwi i wparowała siostra Gertrude,



a wraz z nią cisza i dyscyplina. Sporą ilością słonawej cieczy i jeszcze większym wysiłkiem udało się szczęśliwie przepchnąć dalej to obślizgłe coś, co oklejało moje gardło.



Tamto popołudnie w jadalni było jednym z wielu w domu o ścianach koloru rdzy. Trafiłam tu z miejsca, gdzie kolor ścian nie miał znaczenia, bo panował tam wieczny półmrok, za to z pewnością płakało niemowlę, gdyż w sierocińcach zawsze te nowe lamentują. Te, które przebywały w Domu Niemowląt (Säuglingsheim) Miejskiego Szpitala Dziecięcego przy Schulgasse\* dłużej, podobnie jak ja, dobrze wiedziały, że płacz jest na nic. Ot, można się buntować dla zasady choćby podczas koszmaru cotygodniowej kontroli wagi, wierząc bezradnie na tacce z lodowatej blachy, ale nawet jak się ma kilkanaście dni, szybko się można połapać, że rozdzierającym krzykiem nie przywoła się nikogo. Nie ma wyjątków, jest kolejka, a kołysanie i przytulanie podrzutków nie należy do przysługującego im pakietu.

Nikt nie bierze sierocego nieszczęścia w ramiona, póki nie jest to absolutnie niezbędne. Podrzutków jest zawsze za dużo, a wszystkie są do siebie podobne: sine i nikomu niepotrzebne.

W sierocińcach dla osesków rządzą wspólnie zegar, grafik i kolumna w tabelce, gdzie zaznacza się pory karmienia i niepokojące sygnały, a także wyniki pomiaru temperatury oraz konieczność podania odżywki. Witaminową odżywkę wymieszaną z mlekiem

---

\* Obecnie ulica J. Hoene-Wrońskiego we Wrocławiu.

łykały bowiem wszystkie dzieci, których matką była III Rzesza, a ojcem Führer. Na mocy jego decyzji przytułkowy narybek winien być odkarmiony i właściwie pielęgnowany, ponieważ stanowił cenny zasób: nowe pokolenie wielkich Niemiec.

W moim nowym domu o rudych ścianach, tym na Glinianej, do którego przybyłam, z rzadka płakało się za brakiem matczynego ciepła.

– Pamiętaj, nowa, tutaj nie beczysz. – Nieładna dziewczynka stanęła pierwszego wieczoru przed moim łóżkiem. Miała trójkątną twarz ze zbyt szeroko osadzonymi oczkami i ostrym noskiem. Potem dowiedziałam się, że ma na imię Ursula.

– A jak się zaczniesz mazgać, to przyjdzie po ciebie upiorzyca.

Otworzyłam buzię i przełknęłam ślinę, wówczas przewróciła oczami, jakby mi to powtarzała wcześniej setki razy.

– Żeby nie było, że nie ostrzegałam. Upiorzyce przechadzają się pod oknami i nasłuchują. Mają szpiczaste uszy, które sterczą im do połowy głowy, i długie szpony, by się drapać po karku albo wydrapywać ludziom oczy.

Rozczapierzyła przed moim nosem palce, a ja siłą powstrzymałam się przed wrzaśnięciem.

– One słyszą kaaazdziutki szelest, nawet tupanie pająka na ścianie. Spróbuj ryczeć, to się sama przekonasz.

Wzruszyła ramionami i wyszła z sali zastawionej rzędami łóżek o odrapanych stelażach. Po pacierzu, który jak co wieczór zmagaliśmy w intencji wielkich Niemiec i wielkiego Führera, zgasło światło. Żeby nie patrzeć w okno nad sobą, nakryłam głowę kołdrą i starałam się odдыchać bezszelestnie, powstrzymać od jakiegokolwiek dźwięku.

Ale mimo że bardzo się starałam, długo tak się nie dało, więc dopóki nie zasnęłam, leżałam jak sparaliżowana, rejestrując najdrobniejszy szelest. Następnej nocy wpadłam na pomysł, że zastygnę z dłońmi złożonymi na kołdrze i będę udawać martwą. Każdy bał się przecież zmarłych i wierzyłam, że upiorzyca też.

# Eryk

*Warszawa, 20 lutego 1941*

Siedziała tak po prostu koło pieca i z palcem w buzi, a na podłogowych deskach odznaczały się ciemne stemple, ślady jej butów mokrych od śniegowej brei. Ozłacało ją miękkie światło kuchennej lampy, zaś wokół unosił się błogi zapach słodczy, bo pani Hala dopięła swego i nasmażyła nam faworków. „Okupacja nie okupacja, ostatki muszą być, żeby człowiek nie zdziczał do końca”, zapowiedziała i zużyła wszystkie jajka, o co później było gadanie, bo matka nie widziała głębszego sensu w „głupich ciastkach”. Odtąd gdy przywoływałem tamten obraz: jej siedzącej na małym stołku naprzeciw mnie, czułem w ustach smak kruchej słodczy, tak niezwykłej w mroku, który trwał nieprzerwanie, zdawał się nie mieć końca.

Dobrze, że matka tego nie widzi. To było pierwsze, co przyszło mi do głowy, i nie chodziło o naniesione błoto, chodziło o nią, o dziewczynę, która kiwała się na kulawym zydelku pani Hali, tym do obierania ziemniaków. Miała na sobie kurtkę ojca, a spod zbyt dużej przekrzywionej czapki wystawały dwa czarne warkocze. Ssała kciuk, starając się usunąć tkwiącą w nim drzazgę, a na mój widok uśmiechnęła się i pomachała, jakbyśmy dawno się nie widzieli.

- O, serwus, obudziłam cię?
- Nie, chciałem do kuchni – wybąkałem, bo całkiem zapomniałem, po co właściwie przyszedłem.
- Jestem Alina, a ty?
- Eryk.
- Morowo! Eryk to dumne imię skandynawskich królów, wiesz? Nadawano je wielu duńskim i szwedzkim władcom. Jesteś więc pierwszym Erykiem, jakiego znam.

Uśmiechnęła się szeroko, a ja spuchłem z dumy, dostałem skrzydeł.

- Ile masz lat?
- Jedenaście – powiedziałem i zaraz zbeształem się w duchu. Kretyn! Przecież to dorosła kobieta, mogłem skłamać, powiedzieć cokolwiek, jestem przecież nad wiek wysoki, a na pewno wystarczająco duży, by uchościć na przykład za piętnastolatka.
- Naprawdę? A wyglądasz na więcej.

Znów się uśmiechnęła, a ja gapiłem się jak idiota. Tkwiłem w progu i patrzyłem na Alinę, bo dotąd nie widziałem nikogo piękniejszego. Tak dokładnie myślałem w tamtej chwili. Potem przypomniałem sobie, że przecież stoję przed nią, tak doskonałą, we flanelowej pizamie w księżycy, więc szybko się zmyłem z powrotem do pokoju. Nie przypomniałem sobie, czego potrzebowałem z kuchni, a potem długo nie mogłem zasnąć. Chciałbym móc na nią patrzeć.

# Erna

*Breslau, grudzień 1944*

To musiało być tuż przed świętami, bo w kącie naszej jadalni stał już *Christbaum*. Kupowaliśmy zwykle najtańsze i najbrzydsze drzewka, oskubane albo nieforemne, których nikt nie chciał. Potem jednak, obwieszane łańcuchami poplamionymi klejem i ze świeczkami przyczepionymi metalowymi żabkami, stawały się najpiękniejsze. Na gałęziach wyrastały jabłka, dopóki wszystkich nie pozjadali chłopcy, potem po urwanych jabłkach wisiały smętne sznurki i siostra Gertrude, karząc nas za kradzież i łakomstwo, każdego roku kazała nam na te sznurki patrzeć i żałować aż do Trzech Króli.

Choinka czekała, ale my już tych świąt nie doczekaliśmy. Na jesieni Ruscy zbombardowali miasto po raz pierwszy, a niedługo potem z naszej ulicy i z ulic dokoła zaczęły znikać drzewa. Wiekowe kasztany, klony oraz dęby, pod którymi urzędzało się zwykle bitwy na żołędzie albo obklejało nosy ich nasionami, znikwały jedno po drugim. Drzewa z naszej ulicy i ulic sąsiednich cięto na stemple potrzebne pod zapory przeciwczołgowe. Tych ruskich, co mieli nadzieję, wyobrażaliśmy sobie jako bandę kosmatych gnomów w plecionych łapciach. Na mieście mówiono o nich, że to dziki prymityw i czerwona hołota, opowiadano

głupie dowcipy. Powtarzano też, że jak przyleżą do Breslau ze swoimi widłami, to dopiero dostaną łąpnia od naszych Panzerwaffe i Wehrmachtu, bo tylko na nich czekają. „Głupich ruskich z grabiami kopnie się w dupę i wyśle z powrotem do lepienek za Ural” – opowiadano. Skąd mogliśmy wiedzieć, że zaraz po usuwanych kasztanach i klonach będzie nasza kolej na zniknięcie z naszej ulicy? Niedługo po nas przepadła zresztą niemal cała Lehmgrubenstrasse, no ale to się stało nieco później.

Tamtego dnia miałyśmy dyżur w kuchni, obierałyśmy ziemniaki na obiad. To znaczy obierały starsze – Juta, Renatte i Ursula, bo my z małą Bertą miałyśmy się przypatrywać i uczyć.



Ursula demonstruje właśnie, jak tnie każdą sztukę w kostkę, by szło sprawniej i aby się „nie ceregielić”, gdy przerywa jej Juta:

– Ej, a słyszałyście, że stary Stadler znów przywiózł do nas Joachima?

Zerkam zaciekawiona, bo lubię Joachima, uważam, że jest najmądrzejszym chłopcem w naszym domu.

– Twojego narzeczonego – trąca mnie łokciem Ursula. „Narzeczonego” to u nas synonim głupka.

– W kółko ucieka do tego zasranego domu. Podobno stary najpierw sprzął mu dupę, aż spuchła, a potem z nim tu przyjechał.

Postanawiam, że oddam Joachimowi dwa piernikowe ludziki, które chowałam na Boże Narodzenie. On jest zawsze przeraźliwie smutny.

– Co za palant. – Kręci głową Ursula, ale Juta patrzy na nią z ukosa.

– Ten palant ma chociaż do kogo wracać.

Ursula czerwienieje ze złości. Od dawna karmi nas wszystkich bajkami, że jej mama bardzo za nią tęskni, ale zbyt ciężko pracuje, by sobie pozwolić na zabranie Ursuli stąd ot tak. „To nie jest takie proste, gdy się jest brygadzystką w tkalni Goldberga”, rozkłada ręce Ursula. Jej mama nijak nie ma czasu się nią zająć, ba, nawet odwiedzić, niemniej Ursula to rozumie. Mama bardzo by chciała, ale póki co nie może inaczej. A przynajmniej nie teraz. „Trwa przecież wojna i nawet sobie nie wyobrażacie, z jaką parą pracuje taka tkalnia, żeby nastarczyć z produkcją. Dobrze, że jest tam moja mama”.

Słuchamy, co mówi, i nikt się nie odzywa, bo przecież każde z nas wymyśla sobie mamę albo tatę, ale nikt nie opowiada o nich równie barwnie jak właśnie Ursula. Z tygodnia na tydzień mama Ursuli materializuje się w opowieściach jako wzięta szwaczka, mistrzyni rzemiosła i królowa tkalni, która w niedzielę piecze najpyszniejszy jabłecznik, a gdy wreszcie przyjedzie po córkę, to najpierw pojedą na karuzelę, co stanie się, gdy tylko przyjdzie ciepła wiosna. Tak mama obiecuje Ursuli, ale ciepła wiosna jakoś nie nadchodzi.

– Ten palant ma chociaż do kogo wracać, a ty, Ursula, ja, Renatte czy Erna niestety nie.

Po słowach Juty milkniemy, kłótnia wisi w powietrzu, ale zjawia się siostra Euzebia. Schylamy głowy nad miską z obierkami. Za siostrą maszeruje Herr Lompke, palacz z naszej kotłowni.

– Jak mówią, by dzieciaki zabierać i się wynosić, to ja bym się z nimi nie kłócił – rzuca Herr Lompke w przestrzeń i wyciąga z szafki obity kubek. – Od początku mówione było, że to błąd



paktować z makaroniarzami. Oni może się znają na amorach i kluskach, ale nie na wojnie, i taki z nich sprzymierzeniec jak z koziej dupy trąba, więc tak jakby po balu. – Lompke nabiera wody z wiadra do kubka i głośno pije.

– Jak to po balu? – niepokoi się siostra Euzebia.

– Znaczy się Rzesza przerznie tę wojnę – oznajmia Herr Lompke takim tonem, jakby zauważał, że od rana znów leje.

– Ale nie dalej jak dziś w radio słyszałam, że to przejściowe incydenty – oponuje słabo siostra.

– Mówię, jak jest. – Herr Lompke odstawia kubek i wsuwa wykałaczkę między zęby. – Wojny, psze siostry, to się albo wygrywa, albo nie. A u nas wesoło nie jest, i to akurat wiem, bo moja młodsza gotuje u zastępcy naczelnika miasta. I po niedzieli będzie gotować już tylko dla niego, bo żona i córki naczelnika siedzą na walizkach, w Sudety do rodziny wyjeżdżają. No to raczej nie na wczasy, ja mówię.

Gapimy się na niego już wszystkie, gdyż starsze wiedzą, że Herr Lompke mówi istotne rzeczy, a ja się tylko tego domyślam. Wielkimi jak łopaty dłońmi ujmuje znów kubek i siorbie.

– Sowiety idą. A ruskie, psze siostry, są niczym plaga egipska, ich nic nie zatrzyma: ani błoto, ani zimno, ani nasze czołgi. Oderwali od pługów tych swoich Iwanów, naściągali Mongołów z wiosek i długo na siebie czekać nie każą. Ot, tak się sprawy mają, więc zabierajcie się z dziećmi, póki nie zamknęli miasta. A lada dzień wprowadzą blokadę, tylko patrzeć. Nic tu po was, psze siostry, lepiej nie będzie, ruskich nie ma wam co witać.



Po obiedzie ustawiamy się do zdjęcia przed naszym domem. To niespodzianka, adiutant komendanta wojskowego Breslau, generała Krausego, który dziś kontroluje i uwiecznia postępy fortyfikacji, daje się namówić na jedno ujęcie. Adiutant Rischanek jest kapitanem Sztabu Zwiadowczego Północ, który w tej części miasta wznosi okopy.

– W porządku, jedno zdjęcie – oświadcza chłodno, patrząc w oczy siostrze Liselotte, i kiwa dłonią na żołnierza z aparatem. – Ale pod warunkiem, że siostry potraktują zalecenia komendanta poważnie. Proszę przekonać przełożoną do wyjazdu. Nie wystawimy wam niestety nakazu eksmisji, choć przydałoby się, ale też nikt tu wam nie pomoże, jak wkroczy Armia Czerwona. Proszę zrozumieć, siostrzo, narażacie i siebie, i sieroty. Tu będzie jatka.

Siostra Liselotte zerka na niego i twarz jej blednie pod wpływem jego ostrych słów i stanowczego tonu. Adiutant Rischanek nie ma zamiaru nikogo uspokajać ani nikomu dodawać otuchy. Nie obiecuje, że jak „przyleżą Iwany z sierpem i młotem, to dostaną łupnia od Panzerwaffe i Wehrmachtu”, a wszystko dobrze się skończy. W żołnierskich słowach informuje, że nasze dalsze trwanie tutaj i zaciemnianie szyb papierem przed zmierzchem, co skuteczniamy od paździenika, w niczym nikomu nie pomoże.

– A jak już pójdziecie po rozum do głowy i zdecydujecie się na wymarsz, to wcześniej wszystko, co łatwopalne, proszę znieść do piwnicy.

– Ale co łatwopalne?

– Krzyże, wieszaki, obrazy, szafy, łóżka, krzesła, to, co może się szybko zająć od ognia.

Siostra kiwa głową niczym mechaniczna lalka. Już nie myśli o pozowaniu, znika za drzwiami, a zamiast niej komenderuje nami siostra Euzebia.

– Przyniesicie ławę z jadalnego, staną na niej niższe dzieci. Będziecie mieć pamiątkę. No dalej, zbierzcie się ładnie, pan kapitan czeka.

Ustawiamy się w trzech rzędach przed wejściem; w okiennych ramach po obu stronach drzwi jaśniejają plamy – to pelargonie siostry Gertrude. Ona stoi razem z siostrami Liselotte, Scholastyką i Euzebią. Mają surowe miny, jakby się zmówiły, choć tak naprawdę są przybite tym, co się dzieje wokół. Muszą szybko wszystko spakować, zamknąć sierociniec i uciekać w nieznane. Na zdjęciu zrobionym przez żołnierza kapitana Rischanka widać jedynie mój profil i obcięte do połowy ucha włosy, które sterczą spod czapki z pomponem. Nade mną góruje Ursula, która wpięła sobie we włosy największą kokardę, jaką znalazła, a po mojej prawej stoi mała Berta i jako jedyna z nas się uśmiecha. Po drugiej stronie ustawiono jednego z najniższych, Joachima Stadlera. Tuż przed zwolnieniem migawki chwycił mnie za rękę, dlatego na niego spojrzałam i tak to zostało uwiecznione.

# Spis rozdziałów

Prolog . . . . .	7
Erna. Breslau, listopad 1944 . . . . .	9
Eryk. Warszawa, 20 lutego 1941 . . . . .	17
Erna. Breslau, grudzień 1944 . . . . .	19
Eryk. Warszawa, 1 marca 1941 . . . . .	25
Erna	
Breslau, grudzień 1944. . . . .	29
Duszniki-Zdrój, grudzień 1951 . . . . .	37
Eryk	
Warszawa, 25 marca 1941 . . . . .	41
Warszawa, 29 marca 1941 . . . . .	43
Erna. Duszniki-Zdrój, wrzesień 1952 . . . . .	45
Eryk. Warszawa, 10 kwietnia 1941 . . . . .	49
Erna. Duszniki-Zdrój, listopad 1952 . . . . .	52
Eryk. Warszawa, 15 kwietnia 1941 . . . . .	56
Erna. Duszniki-Zdrój, styczeń 1953 . . . . .	60
Eryk. Warszawa, 25 kwietnia 1943 . . . . .	66
Erna. Duszniki-Zdrój, luty 1953 . . . . .	69
Eryk. Warszawa, 10 maja 1943 . . . . .	77
Erna. Duszniki-Zdrój, luty 1953 . . . . .	80
Eryk. Warszawa, 24 grudnia 1945 . . . . .	87
Erna. Duszniki-Zdrój, marzec 1953 . . . . .	91
Eryk	
Warszawa, sierpień 1949. . . . .	94
Warszawa, listopad 1949. . . . .	98
Warszawa, grudzień 1949 . . . . .	101

Nina. Warszawa, plac Zbawiciela, maj 1953 . . . . .	106
Eryk. Warszawa, styczeń 1950 . . . . .	109
Nina. Warszawa, plac Zbawiciela, maj 1953 . . . . .	112
Eryk. Warszawa, marzec 1950 . . . . .	115
Nina. Warszawa, plac Zbawiciela, czerwiec 1953 . . . . .	119
Eryk	
Warszawa, styczeń 1951 . . . . .	129
Warszawa, grudzień 1952 . . . . .	130
Nina. Warszawa, plac Zbawiciela, maj 1954 . . . . .	140
Eryk. Warszawa, styczeń 1953 . . . . .	143
Nina. Warszawa, plac Zbawiciela, marzec 1956. . . . .	148
Eryk. Moskwa, marzec 1956 . . . . .	158
Nina. Warszawa, plac Zbawiciela, czerwiec 1956 . . . . .	162
Eryk. Warszawa, Żoliborz, czerwiec 1956 . . . . .	168
Nina. Warszawa, plac Zbawiciela, wrzesień 1956 . . . . .	171
Eryk. Warszawa, wrzesień 1956 . . . . .	176
Nina. Warszawa, wrzesień 1956 . . . . .	178
Eryk. Warszawa, październik 1956 . . . . .	185
Nina. Warszawa, październik 1956 . . . . .	188
Eryk. Warszawa, październik 1956 . . . . .	194
Nina. Warszawa, październik 1956 . . . . .	195
Eryk. Warszawa, październik 1956 . . . . .	198
Nina	
Warszawa, listopad 1956. . . . .	200
Warszawa, Żoliborz, listopad 1956. . . . .	212
Nina. Warszawa, grudzień 1956 . . . . .	222
Eryk. Warszawa, Żoliborz, grudzień 1956 . . . . .	226
Nina	
Warszawa, Żoliborz, sylwester 1956 . . . . .	228
Warszawa, Żoliborz, styczeń 1957 . . . . .	229
Eryk. Warszawa, Żoliborz, styczeń 1957 . . . . .	247

Nina	
Warszawa, Żoliborz, luty 1957 . . . . .	249
Warszawa, Żoliborz, luty 1957 . . . . .	253
Eryk. Warszawa, Żoliborz, marzec 1957 . . . . .	274
Nina. Warszawa, Żoliborz, marzec 1957 . . . . .	276
Eryk. Warszawa, Żoliborz, marzec 1957 . . . . .	281
Nina. Warszawa, Żoliborz, kwiecień 1957 . . . . .	282
Nina. Warszawa, Komenda Dzielnicowa Milicji Obywatelskiej Dzielnicy Żoliborz, kwiecień 1957 . . . . .	297
Eryk. Warszawa, Żoliborz, kwiecień 1957 . . . . .	306
Nina	
Warszawa, Żoliborz, maj 1957 . . . . .	309
Warszawa, Żoliborz, maj 1957 . . . . .	316
Warszawa, maj 1957 . . . . .	322
Eryk. Warszawa, maj 1957 . . . . .	325
Nina. Góry Stołowe, maj 1957 . . . . .	327
Eryk. Duszniki-Zdrój, maj 1957 . . . . .	337
Nina. Duszniki-Zdrój, maj 1957 . . . . .	340
Eryk. Duszniki-Zdrój, maj 1957 . . . . .	349
Nina. Okolice Dusznik-Zdroju, maj 1957 . . . . .	352
Eryk. Duszniki-Zdrój, maj 1957 . . . . .	354
Nina. Góry Stołowe, maj 1957 . . . . .	357
Eryk. Duszniki-Zdrój, maj 1957 . . . . .	360
Nina. Góry Stołowe, maj 1957 . . . . .	365
Eryk. Warszawa, czerwiec 1957 . . . . .	370
Nina. Góry Stołowe, czerwiec 1957 . . . . .	373
Eryk. Warszawa, Żoliborz, czerwiec 1957 . . . . .	381
Nina. Wrocław, czerwiec 1957 . . . . .	386
Eryk. Wrocław, czerwiec 1957 . . . . .	404
Nina. Wrocław, czerwiec 1957 . . . . .	407
Eryk. Wrocław, czerwiec 1957 . . . . .	414

Nina. Wrocław, Dworzec Główny, czerwiec 1957 . . . . .	415
Eryk. Wrocław, Dworzec Główny, czerwiec 1957 . . . . .	421
Nina. Wrocław, Dworzec Główny, czerwiec 1957 . . . . .	423
Epilog . . . . .	426